

ZBIGNIEW BRESSA

U PODNÓŻA

SZCZYTÓW

Paczków 2018

Korekta i redakcja
Monika Mielcarek

Skład i łamanie
i-Press «www.i-press.pl»

Projekt okładki:
i-Press «www.i-press.pl»

Wydanie I

U podnóża szczytów
Copyright © Zbigniew Bressa 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN: 978-83-950224-3-2

Zbigniew Bressa | Self Publishing
zbigniewbressa.com

Paczków 2018

I.

NIEWIDOCZNE SKAZY

Matka Angeliki nie miała szczęścia do mężczyzn.

Dwa lata po śmierci rodziców trzydziestoosmioletnia Adela powiedziała: „Dosyć!”. Pozostawiła dom pod opieką brata i udała się w podróż, mając nadzieję na znalezienie życiowego partnera.

W ciągu kilku dni przemierzyła wzdłuż i wszerz Polskę, docierając aż do Świnoujścia. Przespacerowała się po promenadzie, przeszła na bosaka po morskim piachu, zamoczyła stopy w Bałtyku i nawdychała się jodu. W drodze powrotnej zahaczyła o Zakopane, wynajęła pokój z widokiem na Tatry i udała się na rekonesans. Poszwędała się po Krupówkach, porozmawiała z juhasem, spróbowała bryndzy, zjadła oscypka, zaglądnęła do straganów, kupiła dla siebie kierzce, a dla brata – ciupagę. Wieczorem skierowała się do gospody, w której przy kuflu piwa poznała Lucjana. „To moja ostatnia szansa, aby się wyszumieć. Czas nagli, w portfelu pustki, a w domu czekają na mnie wykopki” – pomyślała.

Nie upłynęła godzina, a oni już tarzali się w pościeli. Kochankowie zaciągnęli zasłony i przez cztery dni nie wychodzili z łóżka. Gwoli ścisłości należałoby dodać, że czasami kochali się też pod prysznicem i na dywanie. Lucjan był krępkim mężczyzną. Z wyliczeń Adeli wynikało, że co najmniej cztery razy dziennie uprawiali seks. Wyprawiali przy tym takie akrobacje i wygibasy, o jakie nikt nigdy by ich nie posądzał. Jeszcze teraz, gdy to wspomina, przechodzą ją przyjemne dreszcze. Ależ to była jazda! Mózg się lasował. Takich rzeczy się nie zapomina. Taką rozkosz pamięta się do końca życia.

Koniec końców trzeba się było rozstać. Adela zapisała na karteczce namiary: imię, nazwisko, adres, numer telefonu, a jurny mężczyzna obiecał, że się z nią skontaktuje.

Podsumowując: po dwóch tygodniach wojaży Adela wróciła do domu sama, bez grosza przy duszy, bolał ją krzyż i na dodatek... była w ciąży. Swoją eskapadę nazwała: „wyprawą w nieznane”, „burzą hormonów” oraz enigmatycznie „cztery razy cztery”. Czasami wplatała w kontekst rozmowy sentencję: „nie ma to jak cztery razy cztery” lub „cztery razy cztery jest najlepsze”. Rozmówcy patrzyli na nią zakłopotani, nie mając pojęcia, o co jej chodzi. W końcu ktoś poszedł po rozum do głowy i doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej ma na myśli samochód z napędem na cztery koła, czyli 4×4.

Dziewięć miesięcy po tych wydarzeniach na świecie pojawiła się Angelika. Tajemniczy kochanek nie dał znaku życia. Widocznie mężczyźni myślą wyłącznie o jednym.

Angelika wychowywała się w niebieskim domku. Zewsząd otaczały ją góry i porośnięte lasami zbocza. Dziewczyna od dziecka była marzycielką i wyobrażała sobie, że mieszka w pałacu, jeździ złotą karocą i ubiera się w wytworne stroje. Gdy nieco podrosła, postanowiła zostać milionerką. Rodzima waluta była jednak dla niej zbyt pospolita – marzyły jej się dolary.

Angelika nie była na tyle naiwna i oderwana od rzeczywistości, aby wyłącznie żyć marzeniami. Szybko zorientowała się, że jednym ze sposobów poprawy egzystencji jest gruntowna edukacja. Ostro wzięła się za naukę. W odległej perspektywie – prawie niewidoczny – pojawił się cel strategiczny, do którego zadeklarowała się dążyć za wszelką cenę.

Nie miała łatwego startu – żadnej taryfy ulgowej. Zaczynała od zera. Nikt jej nie wspierał, nikt się o nią nie troszczył, nikt jej czule nie głaskał po główce. Życie jej nie rozpieszczało. Nic nie przychodziło łatwo, a każde osiągnięcie poprzedzone było katorżniczą pracą.

Jej matka także harowała od świtu do nocy, a osiągniany przez nią dochód zaledwie starczał na wiązanie końca z końcem.

Kogo w takim rozgardiaszu, w szaleńczym pędzie, w walce o każdy grosz obchodziły ambicje wiejskiej dziewczynki?

Mijały lata. Angelika wbrew temu co o niej sądzono, ukończyła podstawówkę, liceum i studia magisterskie. Obecnie robiła doktorat. Była typem kujona. Napotykanne przeszkody traktowała jak wyzwania. Jej dzień zazwyczaj kończył się po północy. Czasami nad ranem. Często uczyła się w pociągu lub autobusie, wyczerpując wzrok do granic wytrzymałości.

Aby zarobić na czynsz i chesne, podejmowała się przeróżnych zajęć. Zmywała gary, ścierała kurze, prasowała pościel, zmieniała prześcieradła, udzielała korepetycji, a po powrocie do domu pomagała matce. Ścisłała każdy zaoszczędzony grosz tak mocno, że aż orzełkowi na wierzch wychodziły oczy. Zarobione złotówki zamieniała na dolary i odkładała na walutowym koncie.

Zaciskała zęby i parła do przodu. Wierzyła, że wkrótce nadejdzie jej chwila. Malutkie tryby zazębią się i wprawią w ruch potężną maszynę. Wtedy wreszcie szeroką strugą na jej konto popłyną „zielone”.

Wrota kariery stanęły przed nią otworem. Powierzano jej coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Robiła sprawozdania, kalkulacje, bilanse, zawierała kontrakty i zbierała zamówienia. Poznała prawo handlowe, księgowość oraz marketing i zarzą-

dzanie. Była dyspozycyjna i rzetelna. Wymagająca wobec siebie i innych. Nie spóźniała się do pracy; nie szukała wymówek. Szybko adaptowała się do nowych warunków. Zaszła już daleko, ale uważała, że to dopiero początek.

Wydawałoby się, że nic jej nie brakuje do szczęścia.

Angelika ciągle była panienką. Może z tą panienką to lekka przesada i nieadekwatne określenie, zwłaszcza że w maju kończyła dwadzieścia sześć lat. Uczciwie zatem należałoby określić ją jako podstarzałą pannę. Po prostu, realizując ambitne cele, zupełnie zapomniała o sobie. Umykały jej najlepsze lata. Inni w tym czasie używali życia, zakładali rodziny, a ona była uwikłana w ciąg niekończących się zadań i obowiązków. W jej przypadku życie towarzyskie nie istniało. Nie chodziła na dyskoteki, zabawy, przyjęcia, czy imprezy. Nie miała czasu na przelotne miłości, a co dopiero mówić o znalezieniu życiowego partnera.

Niebieski domek podzielony był na segmenty z osobnymi wejściami. W budynku królowały kaflowe piece. W pobliżu domu znajdowała się miniaturowa chałupka, obora, chlewik, stodoła i kurnik.

Za stodołą rosły jabłonie, grusze, śliwy i wiśnie. W rogu sadu górowała czereśnia, która co roku rodziła soczyste owoce. Trudno je było zerwać – wisały za wysoko. Zjadały ich tylko odrobinę. Większość robaczywiła i spadała na ziemię. Resztą zajmowały się szpaki. Czarne obwiesie nadlatywały chmarą, siadały na gałęziach i wzniewały jazgot, od którego aż puchły uszy. Waliły dziobami w soczysty miąższ, wydziobywały dziurkę, a resztę owocu strącały pod drzewo.

Matka, zwana przez najbliższych „babką”, rzadko pomagała córce, uważając, że w ten sposób uczy ją samodzielności. Nazywała to „zimnym wychowem”.

Częstym gościem w ich domu był wujek Jakub. Obowiązkowo zjawiał się na święta i sianokosy. Czasami zostawał z nimi na dłużej. Wujek tradycjonalista kosił trawę, przewracał, a kiedy już wyschła, grabił, składał w kopy i zwoził do domu. Po co? A po to, żeby Adela mogła nim nakarmić króliki, cielaka i kozy. Warto także wspomnieć o wieprzku w chlewiku i stadkach kur, kaczek, gęsi i perliczek kręcących się w obejściu.

Wujek Jakub z zawodu był murarzem, ale potrafił zrobić dosłownie wszystko. Jednym słowem – złota rączka. W wieku czterdziestu lat ożenił się z bezdzietną wdówką i zamieszkał z nią w okolicy Kamesznicy. Jego szczęście nie trwało jednak długo, gdyż po dwunastu latach jego żona zmarła. Niestety nie dorobili się dzieci. Kiedy wujek przyjeżdżał, mieszkał w miniaturowej chałupce. Zapewne któryś z poprzednich gospodarzy wybudował ją dla parobków.

W domku znajdowały się małe pomieszczenia: przedpokój, kuchnia, pokój, a na górze stryszek. Adela przechowywała w nim fasolę i suszyła zioła. W środku pachniało miętą, tymiankiem, szałwią i lawendą. Angelika, będąc dzieckiem, lubiła się tam chować. Zwłaszcza gdy padał deszcz. Spadające krople dudniły o daszek, wiatr gwizdał pod strzechą, a ona siedziała w kąci i wsłuchiwała się w odgłosy szalejącej na zewnątrz natury.

Wiła się w pościeli jak węgorz i przewracała z boku na bok. Dręczyły ją koszmary. Na dodatek bolał ją krzyż, mrowiło w

stopach i rwało w kolanie. Robiła, co mogła: piła napar z melisy i krople walerianowe, szeptała pacierze i naciągała kołdrę na głowę. Nic nie pomagało. Rozregulowała się emocjonalnie? Co się z nią dzieje? Czego jej brakuje? Była przecież kobietą sukcesu. Panią magister w trakcie robienia doktoratu. Znała trzy języki obce. Miała pracę z perspektywą awansu. Na jej koncie przybywało dolarów.

Postanowiła uporządkować fakty. Od początku. Po kolei. Życie jawiło się jej niczym rozrzucone puzzle. Wydawałoby się, bezkształtna masa. Jednak każdy z tekturowych kawałeczków miał przypisane miejsce w całości. Puzzle zazębiały się ze sobą, spajały i tworzyły wymyślne wzory. Angelika zdawała sobie sprawę, że jej układanka nie jest kompletna. Widniała w niej wyrwa. Mężczyzna! Życiowy partner! Tylko on mógł wypełnić tę pustkę. Jego brak rozpraszał ją i wprowadzał nerwowość w jej poczynania.

Nie do wiary, żeby dwudziestosześcioletnia kobieta jeszcze nie zespoliła się z mężczyzną! Na wszystkich polach odnosiła sukcesy, na tym – klęskę.

To było dawno. Ileż mogła mieć wtedy lat? Pięć, sześć? W każdym razie nie chodziła jeszcze do szkoły. Niedaleko ich domu znajdował się porośnięty szuwarami staw. Częściowo zasypany popiołem, gruzem i śmieciami. W mętnej wodzie taптаły się kaczki – pływały, nurkowały i wyłapywały owady. Na skarpie za bajorkiem rosły trzy kasztany. Obok sadzawki znajdowało się poletko kukurydzy. Liście roślin przybrały już brązowy kolor, a żółte kolby wystawały z okryć.

Angelika bawiła się z chłopczykiem z sąsiedztwa. Jej rówieśnikiem. Jedno z nich zamykało oczy, a drugie się chowało. I tak na zmianę. Kryli się gdzie popadło: w zagonach, za drze-

wami, za skarpą. Dla uatrakcyjnienia zabawy założyli na głowy opaski i powtykali za nie gęsie pióra.

Co ich napadło? Przecież byli dziećmi. Schowali się w kukurydzy, rozebrali do naga, wyciągnęli piórka i łaskotali się nimi po intymnych miejscach. On z zainteresowaniem oglądał jej „bułeczkę”, a ona – jego „sisiorka”. Potem bawili się „w lekarza”. Angelika nawet zrobiła mu „zastrzyk”. Wtedy po raz pierwszy zauważyła różnicę w anatomii chłopca i dziewczynki. Po chwili do głowy przyszedł im niedorzeczny pomysł. Wybiegli z gąszczy kompletnie nadzy. Z gołymi pupami, na bosaka okrążyli zagon i z powrotem zaszyli się w szeleszczących łądygach.

Lata mijały. Nadszedł okres dojrzewania i pierwsze miesiączki. W liceum poznała miłego młodzieńca – Jacka. Spokojnego, cichego – podobnego do niej. Często uśmiechali się do siebie; czasami prosiła go o ołówek, pióro i drobne przysługi. Jacek był wysoki, miał niebieskie oczy i przyjemną twarz.

Zaproponowała mu rowerową wycieczkę. Był maj – miesiąc zakochanych. Wiosna – piękna pora roku. W powietrzu rozchodziły się zapachy kwitnącego bzu i wiosennych kwiatów; ćwierkały ptaszki. W łąkach żółtego rzepaku brzęczały pszczoły.

Znaleźli się w brzozowym gaiku. Angelika dobrze знаła to miejsce. Jesienią zbierała tutaj dorodne kozaki. Schowali się za skałą, przy płynącym strumyku. Zaciszny i skryty przed wścibskimi oczami zaulek.

Usiedli na powalonym drzewie. Nie wiedziała, jak się zachować. W jej głowie panował zamęt. Z chłopakiem było jeszcze gorzej. Pobladł i trząśł się ze strachu. Widząc jego niezdecydowanie, złapała go za rękę i położyła ją na swoim kolanie.

Pragnęła, aby przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nic więcej. Była tuż-tuż, a zarazem daleko. Chłopak zareagował zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Wyrwał z uścisku dłoni i płaczącym głosem tłumaczył jej, że się boi i że musi wracać do domu.

W ułamku sekundy przyjemna chwila przysła jak bańka mydlana.

Od tego wydarzenia chłopak stronił od niej. Przesiadł się do innej ławki, unikał jej wzroku i odpowiadał półsłówkami. Angelika nie miała pojęcia, że matka Jacka to kobieta mająca o sobie wysokie mniemanie. Zaborcza i zazdrosna o synka. Ona najlepiej wiedziała, co jest dla niego dobre, i już wybrała mu kandydatkę na żonę. Ponoć była to córka lekarza. Matka do tego stopnia zdominowała syna, że ten był od niej zupełnie zależny. Całkowicie go kontrolowała. Wiedziała o każdym jego kroku. Dlatego, kiedy wybrał się z Angeliką na spacer, i to bez jej zgody, wpadła w szal. Potraktowała ten występki jako akt samowoli i niesubordynacji. Zagroziła mu, że wyrzuci go z domu, i zmusiła, aby jej wszystko opowiedział.

Postawiła na nogi pół szkoły, twierdząc, że w placówce szerzy się rozpusta. Zagroziła, że powiadomi media. Kto to widział, żeby jakaś wiejska dziewczyna; jakiś niedomyty kocmoch próbował uwieść jej synka? Twierdziła, że Angelika zaciągnęła go w krzaki i miała nieczne zamiary. Rozpustnica. Widać, że to dla niej nie pierwszozna; zapewne szuka sponsora albo być może w ten sposób sobie dorabia.

Wezwana do gabinetu dyrektora Angelika wbiła wzrok w podłogę. Wyglądała jak skazaniec przed pójściem na szafot. Rozwścieczona kobieta pastwiła się nad nią. Nazwała ją dziwką i wywłoką. Na koniec pogroziła jej palcem i ostrzegła, że jeśli

to się powtórzy, powiadomi policję i sąd dla nieletnich. Angelikę zaboląły niesprawiedliwe słowa. Spotkała ją przykrość, na którą sobie nie zasłużyła.

Od tego epizodu postanowiła być ostrożniejsza w kontaktach z mężczyznami.

Nadeszła studniówka. Angelika nie miała chłopaka. Poratowała ją jedna z koleżanek, namawiając brata, aby jej towarzyszył. Był to miły młodzieniec. Towarzystwo bawiło się w najlepsze. Angelika wyhulała się za wszystkie czasy. Uwielbiała tańczyć, a Antek okazał się doskonałym partnerem. Miał wyzucie rytmu i dobrze prowadził.

Po balu zadzwonił po kolegę i odwiózł ją do domu. Samochód zatrzymał się pod stromym podjazdem, a Antek odprowadził ją pod bramę. I zapewne wszystko byłoby w porządku, gdyby na pożegnanie nie zechciał jej pocałować. Angelika zeszywniała, wystraszyła i... rozpląkała. Zmieszany młodzieniec tłumaczył się, że nic złego nie miał na myśli. Od tego epizodu przestała spotykać się z koleżanką i unikała Antka.

Angelika dorabiała w okresie wakacji. Miała dwadzieścia dwa lata, kiedy zatrudniła się w ośrodku wczasowym. Prowadziła księgi rachunkowe, wysyłała zamówienia, przyjmowała zlecenia, odbierała dostawy, robiła przelewy, a wolnych chwilach przesiadywała w recepcji. Była pełnia sezonu. Pogoda dopisywała. Przybywało wczasowiczów. Ze względu na to, że wszystkie pokoje i domki kempingowe zostały wynajęte, Angelika przeniosła się do ciasnego magazynku, w którym spała na polowym łóżku. W pomieszczeniu były ustawione regały, a na nich znajdowały się prześcieradła, poszewki, ręczniki, obrusy i serwetki. Pachniało krochmalem.

Pewnego dnia na obozowisku pojawili się Łukasz z Magdą. Przyjechali z grupą zuchów. Opiekun skautów od razu wpadł jej w oko. Codziennie rano uprawiał jogging i gimnastykę. Jego smukłe, opalone ciało przypominało rzeźbę greckiego boga. Angelika pomyślała, że tak właśnie wygląda stuprocentowy facet i że przyjemnie byłoby się przytulić do muskularnego torsu. Mężczyzna często odwiedzał ją w recepcji i wdawał się z nią w pogawędki. Traktowała to jako niewinny flirt. Pomna przykrych doświadczeń z przeszłości, postanowiła być ostrożna. Dobrze wiedziała, że ludzie wszystko obserwują. A jeśli znajdzie się jakaś życzliwa dusza i powiadomi jego żonę? Ta z pewnością pojawi się tutaj i urządzi jej karczemną awanturę.

– Ludzie o nas plotkują. Nic się nie wydarzyło, a już wzięli nas na języki. Musisz dbać o reputację. Masz rodzinę – zaczęła nieśmiało, gdy Łukasz pojawił się u niej.

– Przestań – przerwał jej obcesowo. – Jestem w separacji – kłamał jak najęty. – Na pewno Magda nagadała ci głupot. Zazdrośnica. Wielka cnotka. Chodzi do kościoła, a w rzeczywistości to cichodajka. Znam ją dobrze. Nieraz byłem z nią na obozie. Adoruje chłopaków i wpycha się im do śpiworów. Mści się na mnie za to, że nie zwracam na nią uwagi.

Angelika popatrzyła na niego zdziwiona.

– Nikt mi niczego nie mówił. Znam życie.

– Przepraszam za emocje. Mam kłopoty. Żona nie pozwala mi widywać się z synami. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę szczerze porozmawiać.

Zmienił taktykę. Brał ją na litość. Podziałało. Angelika pragnęła poczuć się kobietą, jej ciało potrzebowało pieczy i straciła czujność. „Przystojny mężczyzna. Wysoki. Postawny. Dbą o siebie. Widać, że jest zaradny. Zamiast wypoczywać,

dorabia w wakacje. Wydawałoby się, że z niego twardziel, ale gołym okiem widać, że w jego duszy toczy się walka” – pomyślała. Chciała nawet podejść i pogłaskać go po głowie. Nie znalazła jednak w sobie odwagi. Za to on ujął jej dłoń i pocałował.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jesteś mi bliska. Szaleję za tobą. Przyjdź wieczorem na ognisko. Będziemy piekli kiełbaski, a potem chciałbym z tobą porozmawiać.

Pogłaskał ją po ręce i błagalnie spojrzał w oczy. Angelika potakująco kiwnęła głową. W jej duszy zagrało. Czuła, że wreszcie zespoli się z mężczyzną.

Była zdenerwowana i roztrzęsiona. Nie wiedziała, w co się ubrać. Siedziała przed lustrem, trzy razy się czesała i poprawiała makijaż.

Po skończonej biesiadzie w obozie skautów ogłoszono capstrzyk. Magda patrzyła na nią podejrzliwym wzrokiem. „Za-zdrośnica. Ma chłopaka, a innym żałuje” – pomyślała Angelika.

Zapadły ciemności; na kempingu żarzyły się latarnie; w powietrzu krążyły komary. Mężczyzna ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku namiotu. W środku brezentowego schronienia paliła się czerwona lampka. Łukasz był niecierpliwy. Pocałował ją w usta. Potem pieścił jej szyję. Angelika uważała, że wszystko dzieje się za szybko, że traci kontrolę, że nie jest gotowa, że wchodzi w nieznane obszary.

– Boję się – wyszeptwała. – Jeszcze nigdy... tego... no wiesz... z mężczyzną.

– Za chwilę uczynię z ciebie kobietę. Wprowadzę cię w arkany *ars amandi*. O nic się nie martw – szeptał drżącym głosem. Trzęsącymi się dłońmi rozpiął jej bluzkę, zdjął biustonosz i ściągnął majtki. Wstydziała się. Palce instruktora wędrowały po jej ciele. Głaskały brzuch, piersi i uda. Gdy dotarły do łona,

zesztywniała. Czekala. Postanowiła, że zaciśnie zęby, kiedy to się stanie. „Dlaczego to tak długo trwa?! Na co on czeka?! Chcę to już mieć za sobą!” – niecierpliwiła się.

Niestety nastąpiły komplikacje. Mężczyzna nie stanął na wysokości zadania. Z tego, co zrozumiała – miał niepełny wzwód. Poczula się głupio. Najwidoczniej prześladował ją pech.

Łukasz zazgrzytał zębami, tłumacząc się przemęczeniem, nerwicą i stresem. Potem złorzeczył, klął i winił ją za swoje niepowodzenie. Zarzucał jej, że jest oziębła, że leży jak kłoda, że mu nie pomaga, że jest drętwa, że, że, że... Był wściekły i po prostu wyprosił ją z namiotu. Teraz już do niczego nie była mu potrzebna.

Angelika zebrała odzież i jak spłoszone zwierzę pomknęła do swojej klitki. Na zewnątrz wył wiatr, kołysały się drzewa, a jej dudniło w uszach. Zwaliała się na postanie i przepłakała pół nocy. Czula się winna, nie będąc wcale winną. Czula się gorsza od innych, chociaż nie była od nikogo gorsza. Wyrzucała sobie, że jej życie jest nic nie warte.

Atmosfera stała się nie do zniesienia. Unikali się nawzajem. Angelika większość czasu chowała się po kątach. Ostatniego dnia turnusu zjawiała się u niej Magda i z uśmiechem na ustach powiedziała:

– Widzę, że z Łukaszem ci nie wyszło. Nie żałuj. To dziwkarz. W domu czeka na niego żona, a on szuka naiwnych panienek. Dobrze go znam i wiem, że zaliczył już dziesiątki kobiet.

Angelika wbiła wzrok w odległy punkt. „Stuprocentowy mężczyzna. Ogier. Zaliczył wiele kobiet. Nie wyszło mu tylko z jedną – ze mną” – huczało jej w głowie.

„To moje wszystkie damsko-męskie przygody” – podsumowała w myślach. Leżała w łóżku i gapiała się w sufit. Rozmyślała. Co za pech! To klątwa! Czyżby z nią coś było nie tak? Czyżby to dlatego, że urodziła się 13 maja w piątek? Ogarnął ją strach – zostanie starą panną. Nikt jej nie pożąda; nikt się z nią nie umawia i nikt jej nie podrywa. Mężczyźni omijają ją szerokim łukiem. Czyżby nie była sexy? Czyżby nie emanowała kobiecością?

Nieraz stawała nago przed lustrem. Niczego jej nie brakowało. W lustrzanym odbiciu widziała szczupłą sylwetkę, długie nogi, kruczoczarne włosy, cerę jak płatek róży, rumiane policzki, ciemne oczy, delikatną skórę, płaski brzuch, zaokrąglone pośladki i dorodne piersi. Efekt spacerów, jazdy na rowerze i zdrowego odżywiania.

Dlaczego nikt tego nie zauważa?!

Wraz z upływem czasu traciła cierpliwość. Czowała się niešťeśliwa, wyobcowana, gorsza od innych i popadała w kompleksy. Większość koleżanek założyła już rodziny i dorobiła się dzieci. Ona tymczasem zatracala się w pracy, wiodąc monotonne i jałowe życie.

Koniec! To już postanowione! Daje sobie spokój z mężczyznami i zostaje przy dotychczasowych priorytetach. Skupi się na wyznaczonych celach. Rzuca się w wir interesów.

Według Angeliki sukces był pochodną dyscypliny. Najmniejsze niedbalstwo, zaniedbanie i rozpoczynały się kłopoty. Burzył się ład i porządek; świat wywracał się do góry nogami; następował zamęt i chaos.

Obecnie pracowała dla innych. Tak było prościej i wygodniej. Jednak zdawała sobie sprawę, że jeżeli chce, aby jej ma-

rzenia się spełniły, musi iść „na swoje”. Inaczej tęsknoty za pałacem, limuzynami i przepychem nigdy się nie ziszczą.

Czuła, że coś się w niej tli i że niewiele jej brakuje. Ciut, ciut – odrobinę. Że w końcu się przełamie. Potrzebowała impulsu. Kopa. Wstrząsu. Małej isierki, która roznieciłaby potężny pożar. Musiała się otworzyć nie tylko przed sobą, ale przed całym światem. Odważyć się na szaleństwo. Rzuć się w wir pragnień. Poruszyć z posad ziemię. Nie słuchać innych! Robić to, na co ma ochotę! Być panią własnego losu. Krzyczeć, wrzeszczeć, wypłakać się... oszaleć. Niech ją poznają taką, jaka jest naprawdę. Taką, która kiedyś pognała przed siebie na bosaka, z rozpuszczonymi włosami, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu. Okrążyła nago zagon kukurydzy i nic się nie stało.

Niestety z biegiem czasu stała się pozbawioną fantazji realistką. Kobiętą wierzącą tylko w niezaprzeczalne fakty i kolumny cyfr. U niej bilans zawsze musiał wychodzić na zero. Nie była z tych, które płyną pod prąd. Brakowało jej odwagi. Jej dewizą stało się zdanie: „Jeszcze nie teraz. Poczekam”. A więc czekała i czekała. Sama nie wiedząc na co.

Czasami przeżywała chwilę uniesienia i złudnego triumfu nad słabościami. W jej serce wlewała się otucha, a nadzieja dominowała nad wątpliwościami. Wydawało jej się, że może przenosić góry i zdobywać szczyty. Ponośli ją fala optymizmu. Traciła poczucie rzeczywistości i dała się zdominować niedorzecznym fantazjom. Po chwili wracała do szarej rzeczywistości. Do utartego porządku; do realnego świata. Ocknęła się, z powrotem stając się zagubioną, niepewną i zależną od innych istotą. Małym trybikiem; mikroskopijną cząstką; niezauważalnym elementem. Kobiętą niepotrafiącą postawić na swoim;

kobietą niepotrafiącą przełamywać barier. Szarą myszką. Żyjącą w cieniu innych. Niewychylającą się i niewychodzącą przed szereg.

Zapłatała się we własnoręcznie zastawione sidła i nie miała pojęcia, jak się z nich wyplątać.

Budził się nowy dzień. Pojawiły się pierwsze oznaki jutrzeńki. Ze snu wyrwał ją ćwierkot ptaków. Przetarła dłonią zaspane oczy, podniosła się z łóżka, wsunęła na stopy bambosze, podeszła do okna i uchyliła firankę. Do pokoiku przeniknęły promienie słońca, układając na meblach wymyślne wzorki. Na wschodzie piętrzyły się Góry Złote, od południa wyłaniał się Masyw Śnieżnika, od zachodu Pasma Krowiarki. Skaliste zbocza porastały świerkowe lasy i kosodrzewina. Gdzieniedzie widać było połacie zalegającego śniegu. Rączy Strumień wił się jak węgorz po stoku, by w końcu umknąć do rzeki Bystra.

Przed nią znajdowały się rabaty kwiatowe. Pojawiły się na nich pierwsze zwiastuny wiosny: przebiśniegi, śnieżynki i różowe, filcowo owłosione sasanki. Obok nich wyrastały złociste pierwiosnki, zawilce, ciemnoniebieskie szafirki i storczyki. Wzdłuż płotu żółciły się rzędy żonkili.

W rozłożystych gałęziach magnolii świergotały ptaki. Przyroda budziła się do życia. Wkrótce zielonym całunem przykryją się łąki i pojawią się na nich owce; zakwitną owocowe drzewka. Potem w miniaturowym ogródku pojawią się krokusy, narcyzy i tulipany. Latem zakwitną irysy, lilie, mieczyki, konwalie i niezapominajki. Jesienią – astry, aksamitki i chryzantemy. W ziołowym kąciku wyrośnie mięta, bazylija, tymianek i szałwia. Przez cały rok będzie kolorowo i pachnąco.

Tylko czy to poprawi jej humor? Czy wiosenny wietrzyk rozwieje jej wątpliwości? Zacisnęła usta i podniosła do góry

ręce. „Jeżeli nie mam szczęścia do mężczyzn, to będę żyła chwilą” – pomyślała.

Jodłów leży obok głównej drogi z Kłodzka do Stronia Śląskiego. Wioska położona jest przy starym szlaku handlowym z Javornika do Rudawy, powszechnie zwanym Solną Drogą. Według ostatniego spisu ludności miejscowość liczyła sześciuset dwudziestu czterech mieszkańców. Dominującymi gałęziami gospodarki było rolnictwo i turystyka.

Osada stanowiła znakomitą bazę wypadową dla wycieczek udających się w Góry Złote i Masyw Śnieżnika. W niedalekiej odległości umiejscowione były także wyciągi narciarskie, uzdrowiska i szlaki turystyczne.

W wiosce znajdował sklep spożywczy i mięsny, piekarnia, szkoła, kościół, rolnicza spółdzielnia produkcyjna i stacja kolejowa. Kiedyś funkcjonowała tutaj gorzelnia, kamieniołom, cegielnia, zakład betoniarski i zlewnia mleka. Obecnie pozostały po nich tylko walące się budynki, rozsypujące murki, zapadnięte dachy, zarośnięte chwastami place i... nostalgiczne wspomnienia. Kiedy nadeszło „nowe” – upadły wszystkie przedsiębiorstwa. Ponadto po otwarciu rynków pracy Unii wielu młodych wyemigrowało za zarobkiem do Irlandii, Anglii, Holandii i Niemiec. Miejscowość wymierała. W wiosce pozostali nieliczni.

Wśród nich była Angelika.

II.

ROZMIECIONY PŁOMIENI

W piątek Angelika przyjechała do domu samochodem. Nie swoim. Służbowym. Miała wprawdzie prawo jazdy, ale nie zamierzała uszczuplać oszczędności na zakup własnego środka transportu. Szef polecił jej, że ma być „pod telefonem”, twierdząc, że i tak nic innego nie ma do roboty. W niedzielę z samego rana miała towarzyszyć grupie inwestorów poszukujących lokum na dom opieki. Jej firma pośredniczyła w sfinalizowaniu transakcji. Jednym z budynków wytypowanych do inspekcji był renesansowy pałac w Jodłowie.

Angelika przygotowywała się do spotkania niezwykle starannie, ślęcząc nad dokumentami do północy.

Jakby miała mało obowiązków, to jak na złość w sobotę przypadała jej kolej sprzątnięcia kościoła. Nie było szans, aby się wymigać. Tak ustalony był harmonogram i basta. Zadzwoiła do Zdzichy – koleżanki jeszcze ze szkoły podstawowej – prosząc ją o pomoc.

Chwilę później zjechała rowerem z górki, minęła kapliczkę, przejechała przez mostek i skręciła w stronę wioski. Przystanęła na moment przy zamkniętej bramie pałacu. Metalowe elementy ogrodzenia pożerała rdza. Z przymocowanej tabliczki wynikało, że obiekt był chroniony przez firmę Securitas. W budynku przez wiele lat mieściły się biura spółdzielni, a obecnie zarządzał nim Skarb Państwa. Dach był pokryty gontem. Na parterze znajdował się portal renesansowy, a kamienne opaski stanowiły obramowania okien. Na elewacji widać było ślady dekoracji.

Obok pałacu wznosiła się baszta, a za nią znajdowały się zabudowania gospodarcze. W parku rosły rzadkie drzewa. Z tego, co zapamiętała, wśród nich pięła się sekwoja i dwa platany. Całość posesji ograniczał kamienny murek. Po drugiej stronie, za rzeczką, widniała figura świętego Nepomucena na gruszkowatym cokole.

Widać było, że zrobiono tutaj porządki: wygrabiono liście i suchą trawę, wywieziono śmieci, a nawet pomalowano krawężniki. Z pewnością w ten sposób próbowano poprawić wygląd tego miejsca i ukryć niedoskonałości.

Popedałowała dalej. Przejechała pod łukowatym wiaduktem kolejowym i wyjechała naprzeciw zabudowań starej gorzelni. Górował nad nimi pochylony komin. Skręciła w boczną drogę i znalazła się na kościelnym dziedzińcu. Tam już czekała na nią Kubasowa. Staruszka trzymała w dłoniach kopaczkę, gdyż właśnie porządkowała kwiatową rabatę.

Angelika pozdrowiła ją i rozejrzała się dokoła. Kościół parafialny zbudowany był z czerwonej cegły. Przed głównym wejściem do przybytku bożego wznosił się drewniany krzyż z ukrzyżowanym Chrystusem.

Podeszła do staruszki, pochyliła się i przez chwilę w milczeniu wspólnie wrywały chwasty. Po kilku minutach pojawiła się Zdicha. Angelika wyczuła od niej alkohol.

– Zaraz wam dam miotłę, szufelkę, środki czystości i ścierki – wyprostowała się przewodnicząca rady parafialnej, trzymając się za plecy. – Boli mnie krzyż... Ale co wy tam wiecie? Jesteście młode siksy. Przekonacie się, jak będziecie po siedemdziesiątce.

– Trzyma się pani dobrze. Niedawno widziałam panią na weselu. Niejedna młódka nie tańczy oberka tak jak pani – prawiła jej komplementy Zdzicha.

Angelika uważnie zlustrowała przyjaciółkę. Policzki Zdzichy czerwieniły się, a oczy świeciły radosnym blaskiem. Może spowodował to alkohol? Zdzicha była chuda jak patyk, ryża, piegowata, a kolor jej oczu przypominał rozpuszczoną w mleku ultramarynę. Kopciła papierochy i „dawała w szyję”. Angelika nie mogła nadziwić się, że koleżanka zmieniała kochanków jak rękawiczki. Pewnego dnia przy lampce wina Zdzicha oznajmiła, że to wina hormonów. Jak sobie wypije, to na widok chłopca dostaje obłędu.

– Nie macie pojęcia, jakie ja miałam pukle. Ładna byłam. Chłopaki nie dawali mi spokoju. Przyjdźcie do mnie, to wam pokażę zdjęcia – pogłaskała się po chustce Kubasowa, jakby poprawiała włosy. – My tu gadu-gadu, a praca czeka. Do roboty! Zamiećcie podłogę, zetrzyjcie kurze, przetrzyjcie posadzkę i pamiętajcie – pogroziła palcem – żadnych wygłupów. Przy ołtarzu pracuje konserwator zabytków i o wszystkim mi doniesie.

We wnętrzu świątyni panował półmrok. Widocznie ze względu na oszczędności nie zapalano świateł. Ołtarz nakryty był folią. Przy nim stała drabinka i rusztowanie, ale nikogo nie było widać w pobliżu.

Zdzicha wsadziła miotłę między nogi, tak że wystający kij wyglądał sugestywnie.

– Długi, ale cienki. Wolę takiego, co się nie mieści w dłoni.

– Przestań! Co ty wygadujesz?! – przywoływała ją do porządku zniesmaczona Angelika. – Jeszcze nas ktoś usłyszy.

Koleżanka chichotała.

– Myślisz, że Kubasowa nas szpieguje? Widziałaś, jakie ona ma wary. Na pewno robi proboszczowi loda. Inaczej nie utrzymałaby się na stanowisku.

– Cicho! Głupia! Jesteśmy w kościele! Tobie tylko jedno w głowie. Co to, znowu buzują ci hormony?

Zdzicha zanosiła się śmiechem. Prawie się dusiła. Położyła się na posadzce i zatkała dłonią usta.

– Dobrze, już dobrze. Koniec. Basta. Co to, nie można pożartować?

– Przecież Kubasowa to stara panna i brakuje jej zębów – dodała Angelika.

– Już ja ją znam! To stara wywłoka, która spogląda chłopom na rozporki. U mnie w domu nie lepiej. Teściowa ściga się jak suka.

– Teściowa?! Co ty wygadujesz?!

– Wiem swoje – kontynuowała podniesionym głosem. – Ciągle gdzieś jeździ, wisi na telefonie i te jej zielone, rozpromienione oczy. To się wyczuwa. A niech tam, powiem ci prawdę. Przyłapałam ją, jak siedziała na kolanach sołtysowi. Co tak wybałuszasz gały?! Tak, temu łysemu Kojakowi. Nie masz pojęcia, jak się spieszyła. Myśli, że doniosę teściowi. Od tego czasu trochę się uspokoiła.

– Nie rób zamieszania. Zresztą nie dziwię się jej.

– Nie dziwisz się?! Ekspertka się znalazła.

– Uspokój się. Zawsze byłaś popędliwa. Nie tylko tobie grają hormony. Ona także ma potrzeby. Jest spragniona czułości. Chce poczuć się kobietą. Energia z niej tryska, a teś to stojący nad grobem wymoczek. Położyłabyś się z takim do łóżka?! Pewnie ich pożycie... a zresztą – machnęła ręką – to nie moja sprawa.

– Angelika! Co ty pleciesz?! Nie poznaję cię. Ale wykład, ale jazda.

– Skupmy się lepiej na pracy. Zobacz, ile nam jeszcze zostało.

Przez chwilę sprzątały w milczeniu. Zbliżyły się do prezbiterium. Nagle Angelika drgnęła. Przed ołtarzem stał ubrany w fartuch mężczyzna. W dłoniach trzymał puszkę z farbą i pędzel. Wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami. „Mój Boże! Konserwator! Zupełnie zapomniałam! Wszystko słyszał. Może nawet nagrał. Doniesie Kubasowej – są w dobrej komitywie. Ta z kolei wszystko wyśpiewa proboszczowi. Będzie afera; będzie chryja. Znowu się wkopałam. Za takie żarty grozi nam kolegium”.

– Widzę, że dobrze się bawicie.

– To ty, Julo?! Nie poznajesz go?! To Julek Gruca. Nasz artysta. Schowałeś się i podsłuchujesz. Nie obawiaj się, Andzia! Z nim można konie kraść. Najporządniejszy chłopak, jakiego znam. Żebyś widziała, jakie on ma pośladki – skomentowała z uśmiechem Zdzicha.

„Ją chyba wszyscy przelecieli. Nawet taki przystojniak” – z zazdrością pomyślała Angelika.

– Chodź tu do mnie, niech cię uściskam – rozłożyła ramiona Zdzicha.

„Chłopy lgną do niej jak pszczoły do miodu. Jak ona to robi?”

– Byłem za ołtarzem, kiedy weszłyście – tłumaczył się zakłopotany. – Proboszcz poprosił mnie o przysługę. Odnowiam obramowania obrazu. Na majówkę będzie gotowe. Muszę być ostrożny. Jedna plamka na malowidle i nie wypłacę się do końca życia.

Angelika patrzyła na niego jak urzeczona. Kiedy ich oczy się spotkały, przeszły ją przyjemne dreszcze. „Wysoki. Wysportowany. Szatyn. Kręcone włosy. Łagodny wyraz twarzy. Gładko ogolony. Gdzie on się uchował? Ledwie na niego spojrzałam, od razu mnie wzięło”. Obserwowała, jak Julek z pędzlem w zębach wspina się na rusztowanie.

Do końca sprzątanania nie mogła dojść do siebie. Przez cały czas myślała o spotkanym mężczyźnie. Zostawiła nawet na ławce klucze, żeby mieć pretekst, by wrócić i jeszcze raz na niego spojrzeć.

– Złoty chłop – chwaliła go Kubasowa, kiedy skończyły.

– Pewnie, że złoty, bo używa złotej farby – żartowała Zdzicha.

– Siksa jesteś. Zaraz sprawdzę kurze w białych rękawiczkach.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, ale myśli Angeliki błądziły daleko. Ciągle myślała o roziskrzonych oczach i przyjemnych licach. Wahała się i wahała. Czuła się jak konspiratorka. W końcu się zdecydowała, przeprosiła kobiety i udała się do środka po pozostawione klucze.

– Uważaj na niego. On zalicza kobiety w biegu. Wystarczy minutka i jest po sprawie – krzyknęła za nią Zdzicha.

– Gdybym była młodsza, to też bym na niego poleciała. Jakie ja miałam loki – wspominała prawa ręka proboszcza.

Angelika weszła do wnętrza z duszą na ramieniu. „Głupia i naiwna. Co ja robię? Ale i tak muszę zabrać klucze” – usprawiedliwiała się w myślach. Julian stał na rusztowaniu. Kojarzył jej się z rzymskim cesarzem. Cezarem, Oktawianem, Wespazjanem. Kiedy ją ujrzał, położył pędzel i puszkę na podeście, zeskoczył z rusztowania i w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

– Będę na ciebie czekał w środę na drodze do Dębowca. Zaczaję się w zaroślach o ósmej godzinie. Ubierz długie spodnie. Nie bój się. Nawet cię nie dotknę. Urzekłaś mnie. Muszę lecieć – wyrzucił z siebie jak z automatu i już go nie było.

Zanim się zorientowała, był z powrotem na górze. W dłoni trzymał pędzel i puszkę z farbą. Znowu wyglądał jak wódz. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Istna maska. „Rzeczywiście szybki. Ile to trwało? Kilka sekund, pół minuty? Ale to wystarczyło, aby ten chłopak wprowadził zamęt, wzburzył fale i rozniecił pożar w mojej duszy”.

Wracała do domu. Jechała z rozpuszczonymi włosami, pochyliła się nisko nad kierownicą i mocniej nacisnęła na pedał. Na pokrytym popękany eternitem przystanku siedzieli chłopcy i dziewczyny. One w miniówkach; oni w dresach. W dłoniach trzymali telefony i walili palcami w klawisze. Palili papierosy. Może nawet marychę. O murek oparte były dwa motory. Wyblakła wuefemka i oblepiony naklejkami junak.

Wzdrygnęła się, pragnąc jak najszybciej ominąć to miejsce. Wujek Jakub wspominał, że kiedyś było inaczej. Co sobotę we wsi odbywała się zabawa. Majówki, festyny, potańcówki, dożynki były częścią folkloru. Grała kapela. Perkusja, akordeon, saksofon, gitara. Nogi same rwały się do tańca. Wszyscy wywijali. Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli i piszczeli. A teraz co? Młodzież nie ma co robić. Jadą na dyskotekę, popodrygują trochę, przestąpią z nogi na nogę, napiją się, naćpają, a później ich powrotną drogę do domu poznać ustawiane przy drodze krzyże. Na jednym z nich zauważyła kask i napis: „Tu zginął Czarny”.

Ostry podjazd pod bramę nazywała „górską premią”. Zmieniła przerzutkę, podniosła się z siodełka i podjechała pod bra-

mę. Chwila wytchnienia? Gdzie tam? Na wzniesieniu czekała już na nią podekscytowana matka.

– Gdzieś była tyle czasu?! – powiedziała do niej z wyrzutem. – Bierz ze sobą komórkę, bo szef dostaje bzika. Dobija się jak szalony. Dzwonił nawet do mnie! Kłął i narzekał, prosząc, żebyś postawiła cię do pionu i przywołała do porządku. Co się z tobą dzieje? Niby jesteś dorosła, wykształcona, a głupia. Ja w twoim wieku... zresztą, dobra. Jutro czeka cię ważne spotkanie, a ty szlajasz się ze Zdzichą. Masz dobrze płatną pracę, to ją szanuj! Zobaczysz, wyrzucą cię na zbity pysk i wylądujesz w pośredniaku.

Znowu poczuła się winna, chociaż nie była winna. Zapomniała telefonu, to prawda, ale czy od tego zawalił się świat? Czy nie ma prawa do odrobiny prywatności? Tyra od świtu do nocy. Dyspozycyjność? Dobre sobie. Traktują ją gorzej jak niewolnicę. Dziewczynę na każde skinienie. Musi wreszcie zerwać więzy uzależnienia i pomyśleć o sobie. Dzisiaj spotkała interesującego mężczyznę i chciałaby o nim pomarzyć.

Na ekranie nokia widniało sześć nieodebranych połączeń i trzy SMS-y. Wszystkie od szefa.

– Gdzie się podziewasz?! To niedopuszczalne! Przecież mówiłem: „być pod telefonem”. Ten inwestor to szansa na sporą prowizję. Przyłóż się. Wiążę z tobą nadzieję. Powierzyłem ci samochód córki. Uważaj! U was są wąskie drogi. Mam nadzieję, że go nie porysowałaś – wrzeszczał jej do ucha.

Tłumaczyła się brakiem zasięgu. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że ścierała kurze i omiatała pajęczyny w parafialnym kościele. Jeszcze by ją wyśmiał. Dobrze wiedziała, że ludzie z powiatowego miasta o Jodłowie nie myślą inaczej, jak tylko: „wymarłe miejsce”, „tam, gdzie psy dupami szczekają”,

„koniec świata”, „zapadła dziura” i tak dalej. Takie określenia wbijały się w jej wrażliwą duszę jak ostre kolce. Raniły i sprawiały ból.

Szef wyznaczył jej nowe zadanie. Miała sprawdzić, czy każdy z obiektów ma dostęp do bieżącej wody, gazu i kanalizacji. Te informacje mogą okazać się kluczowe. A więc do roboty. Nie ma na co czekać. Do rana daleko.

Niech to szlag trafi! Tupnęła noga. Wychodziła w siebie. Opadły jej ręce. Wszystko wzięło w łeb. Jeszcze kilka minut temu miała nadzieję na spokojny wieczór, a teraz czekały na nią dodatkowe zadania. Znowu wleje w siebie kilka kaw lub wspomocze się energetycznym napojem. Musi posurfować po sieci, przeglądnąć plany zagospodarowania przestrzennego, zadzwonić do wodociągów, znaleźć schemat kanalizacji i nitki gazociągu. Zrobi to wszystko „po łebkach”, bo inaczej nie zdąży. I tak skończy nad ranem. A co z nauką? Zbliży się sesja. Ma zaliczenia, egzaminy i musi zrobić projekt. Na dłuższą metę tak nie można.

Kiedyś wreszcie powie „koniec”, zerwie się z uwięzi i pogna przed siebie jak mustang na prerii. Ale jeszcze nie teraz. Poczekajka.

Ślęczała nad papierami do drugiej. Aby nie zasnąć, przemywała twarz zimną wodą i wypila kilka filiżanek kawy. Pękała jej głowa i piekły ją oczy. Wreszcie skończyła, nastawiła budzik i zwała się do łóżka. Ogromne zmęczenie dało znać o sobie. Gdy tylko jej głowa dotknęła poduszki, momentalnie zasnęła. Nad ranem miała sen. Na podwyższeniu stał mężczyzna mówiący do niej cichym głosem: „Urzekłaś mnie, środa, godzina ósma. Pamiętaj!”

Zimny prysznic, mocna kawa, śniadanie. Pochłonęła miseczkę zalanych mlekiem płatków owsianych, zabrała ze sobą kilka tekturowych teczek i już jej nie było. Skierowała się w stronę Mielnika.

Zjawili się punktualnie. Przyjechali czarnym mercedesem. Główny inwestor, z córką i synem. Za nimi pojawił się przedstawiciel Skarbu Państwa. Zasypali Angelikę gradem pytań. Na prawie wszystkie znała odpowiedzi. Była rzeczowa. Starszy pan z zadowoleniem kiwał głową. Pytali o detale. Zagląдали w każdy kąt, robili notatki. Córka zajmowała się sprawami finansowymi, syn – prawnymi.

Ostatni obiekt, który ich interesował znajdował się w Jodłowie. Znowu oglądali, robili szkice, notowali i obliczali. Skończyli około drugiej.

– Z tego, co mi wiadomo, mieszka pani niedaleko. Miałbym zatem prośbę – powiedział do niej cichym głosem inwestor. – Przycisnęło mnie. Nie wytrzymam. Muszę do ubikacji.

Do tej pory zaskoczyło ją tylko pytanie o skutki ewentualnej powodzi na tym terenie i ta nietypowa prośba. Z pierwszym poradziła sobie, wspominając o zbiorniku retencyjnym. To drugie na chwilę ją poraziło. Wstydziła się. Chciała odmówić, ale widząc przed sobą cierpiącego człowieka, powiedziała:

– Proszę za mną.

Pojechała przodem fordem, oni za nią mercedesem. Szeroki samochód ledwie zmieścił się w zagłębionym podjeździe. Przed bramą posesji stała matka, patrząc na gości zdziwiona. Angelika zaprowadziła eleganckiego pana do łazienki. Na rozciągniętym sznurku wisiała bielizna. Zmieszana przeprosiła za bałagan.

„Co on sobie o mnie pomyśli, widząc moje majtki? A co będzie, jak pojawi się mysz?” – pomyślała z trwogą.

Gdy wyszła na zewnątrz, czekała na nią niespodzianka. Matka zaprosiła gości do ogrodowej altany. Zbudował ją niedawno wujek. Drewniana konstrukcja była przymocowanych do gruntu solidnymi kotwami. Na każdym z boków budowli znajdowała się kratownica, a dach pokryty był papą. W środku postawiono dwie ławki z oparciami, stół i ratanowy fotel na biegunach.

Na stole stał talerz z pokrojoną szarlotką, w kuchni na rozgrzanym blacie gotowała się woda. Goście zaakceptowali propozycję wypicia filiżanki kawy w ogrodzie. W powietrzu krążyły muszki i brzęczały owady.

– Żyjecie jak u Pana Boga za piecem. Zdrowe powietrze, w zasięgu wzroku rozciągają się góry, do życia budzi się przyroda, hodujecie zdrowe warzywa – odezwał się syn.

„O czym on mówi? Pomieszkałby tutaj, to szybko zmieniłby zdanie. Niedogrzanym dom, zimne posadzki i kaflowe piece. Kopci się bez przerwy, czad osiada na płucach, a na ścianach gromadzi się sadza. W zimie zasypane drogi, zasypany kolana i trudno wyjechać pod górkę” – pomyślała Angelika.

– Może coś przekąsicie? – zapytała „babka”. – Przyniosę wam chleba i smalcu ze skwarkami. Ugotowałam ziemniaki i kwaśnicę na świńskich ogonach. Momencik, zaraz wracam.

„Co ona wyprawia?” – przeraziła się córka. Wiedziała, że matka jest chytra i zażąda od niej zwrotu kosztów, twierdząc, że to byli jej goście.

Wkrótce na stole pojawił się garnek z zupą, smalec, chleb i kompot. Obok leżała chochelka i drewniana warzecha.

– Dobrze, smaczne, kwaskowate. Czujecie aromat? Majeranek, ziele angielskie, rozpływające się w ustach mięso. Smalec

ze skwarkami, pachnie cebulką i czosnkiem. Cymes. Do tego chlebek z chrupiącą skórką – wychwalali pod niebiosa goście, mlaskając.

– Swojskie i zdrowe. Chleb na zakwasie – sama upiekłam. Kapustę z marchewką własnoręcznie zakisiłam w drewnianej beczce. Chowam także kury, kaczki, gęsi, perliczki, a nawet wieprzka – Adela chwaliła się jak najęta.

– Brawo, brawo! Tacy ludzie nie zginą i poradzą sobie w największym kryzysie – chwalił ją biznesman.

– Matka pochodziła z Kamesznicy. To wioska koło Milówki. U nas w domu nic się nie marnowało. Jak brat przyjeżdża z gór, to mu bez przerwy gotuję kwaśnicę, prażuchy i kulasę...

– Mamo, proszę. Nie zanudzaj gości – próbowała powstrzymać jej wywody Angelika.

– Kulasa? Prażuchy? Pierwsze słyszę – zdziwiła się młoda dama.

– Już wyjaśniam. Prażuchy to uprażona na rozgrzanej patelni mąka. Najlepiej nadaje się do tego żytnia – grubo mielona. Taką jak śrut dla prosiaków. Natomiast kulasa to drobno mielona pszenna mąka gotowana na wodzie. Szybkie, tanie i zdrowe dania. Dodaję do tego smażonego bekonu lub brunatnych skwarek. Do popicia najlepszy jest kefir. Robiłam takie kwaśne mleko, że można je było nożem kroić.

– Mamo, przestań. Kogo to obchodzi? – niecierpliwiła się Angelika.

Goście jedli z apetytem placek i siorbali kawę. Okruszki ciasta sypały się na stół i ziemię. Najwidoczniej wszyscy – bez względu na status społeczny – mają takie same żołądki i kubki smakowe.

– Wspaniała szarlotka. Odwiedzimy was jeszcze kiedyś, kumo – mówił żartobliwie, naśladując góralską gwarę starszy pan. – Bądźcie tak uprzejmi i pokażcie nam swoje królestwo.

Podziwiali kozy i capa, kaczkę „francuzki”, kury „czubatki”, liliputki, skrzeczące perliczki, gulgoczące indyczki i gęsi z długimi jak u łabędzi szyjami.

– To farma hodowlana, a nie dom emerytki – dziwili się gości.

Kiedy weszli do kuchni, odnieśli wrażenie, jakby znaleźli się w muzeum. W pomieszczeniu zgromadzone zostały krosna, maślnica, gliniane garnki, drewniana warzecha, kuty pogrzebacz, a nawet żelazko z „duszą”. Na widok kaflowego pieca aż im oczy zbieleły. Znajdował się w nim piekarnik, piec chlebowy i miedziany kocioł na wodę.

– Tam jest komórka. Wchodźcie – zapraszała. Otworzyła masywne drzwi prowadzące do piwnicy. Schodziło się do niej po kilku stopniach. Pod półkolistym sufitem paliła się upstrzona przez muchy żarówka. W rogach wisiały pajęczyny, w których czaiły się długonogie pająki.

Pod sufitem spiżarni wisiały pęta swojskiej kielbasy, wędzony boczek, słonina, baleron i szynka. Na drewnianych półkach leżały jabłka i gruszki, stały tam też w równych rzędach słoiki z sałatkami, kompotami, dżemami i powidłami. Z pojemników z suszonymi śliwkami rozchodził się aromatyczny zapach. Płócienny worek był pełen mąki. Pod ścianą stała drewniana beczka kiszzonej kapusty i gliniany garnek kwaszonych ogórków. W pokaźnej drewnianej skrzyni znajdowała się zasypana w piasku marchewka, pietruszka, seler i czerwone buraczki. Na stole w słomianych kobiałkach spoczywały różnej wielkości jaja: gęsie,

kacze, nakrapiane indycze, chropowate perlicze i miniaturowe lilipucie.

Goście ponownie ją pochwalili.

– Prawdziwy spichlerz. Możecie się tutaj schować podczas wojny i przeżyjecie. Nie trzymajcie tego wszystkiego dla siebie. Sprzedajcie nam po kawałeczku wędzonki, pęto kielbasy i kilka jajek. Dobrze zapłacimy.

Adela słysząc o pieniądzach, nastawiła uszu. Jej oczy za-błyszczały. „Takie towarzystwo ma forsę jak lodu” – pomyślała.

– Niech wam będzie – machnęła ręką. – Napijmy się na pożegnanie – zaproponowała, wyciągając z szafy zakurzoną butelkę. Nałożyła na nos okulary i sprawdziła datę. – Pięcioletnia, wiśniówka.

– Niestety, prowadzę – podniósł do góry ręce młody mężczyzna.

– Nie będzie pan poszkodowany. Ja szanuję gości. Podaruję panu na odchodnym butelczkę malinówki.

– Dobrze – chwalili. Unieśli do góry podłużne kieliszki i spojrzeli pod światło. – Klarowna. Upijemy się, a jutro będziemy mieli kaca.

– Nie przesadzajcie! Kieliszek alkoholu jeszcze nikomu nie zaszkodził. Trzeba jednak uważać, bo ta mikstura idzie w nogi – pouczała Adela.

Goście odjeżdżali ukontentowani. W dłoniach trzymali torbę z podarunkami. Musieli uważać, żeby nie rozbić jajek.

Żegnali się czule. Szklili im się oczy. Policzki młodej kobiety rozpalily się do czerwoności i opuszczała gościnne progi lekko chwiejnym krokiem. Na podarowanej młodemu męż-

czyżnie buteleczce była przyklejona etykieta z następującą treścią:

Nalewka z malin
Prywatna wytwórnia alkoholi
Babki Adeli
2002 rok

Kiedy „babka” wróciła do altanki, znalazła pod jedną z filiżanek stueurowy banknot. Wzięła go do ręki, chuchnęła i schowała do kieszeni fartucha, zwracając się do córki:

– Ucz się od matki. Tak się trzepie kapuchę. Sprowadzaj tutaj więcej dzianych gości.

Zazgrzytało na linii przełożony – podwładny. Zaiskrzyło i to mocno. Angelika zagotowała się i wybuchła. Takiej jej nikt nie znał. Zadziornej, pyskatej – potrafiącej walczyć o swoje.

Rankiem następnego dnia zdała relację szefowi z niedzielnej wizyty. Ten nie wiadomo dlaczego był rozdrażniony i czepiał się o byle co. Dogadywał jej i był uszczypliwy. Miał pretensje o to, że zaprosiła gości do domu. Twierdził, że zrobiła to celowo, gdyż widzi w tym swój interes. Nazwał Jodłów dziurą i zaściankiem, a jej dom wiejską zagrodą. Bolało, zakuło, ale powstrzymała się od komentarzy. Potem sprawdził samochód i znalazłszy na nim ryskę, stwierdził, że wcześniej jej tam nie było. Stała przed nim z opuszczoną głową. Czuła się winna, nie będąc wcale winną.

Kiedy mu trochę przeszło, powiedział do niej władcym głosem, że za to zadrapanie napisze dla jego latorośli esej i będą kwita.

– Nie mogę. Mam sesję i zaliczenia – wyjąkała słabym głosem. Nie lubiła odmawiać, pragnęła wszystkim dogodzić, ale miała zaległości.

– Gównu mnie to obchodzi! Dobrze szpanować po zabitej dechami wiosce czyimś samochodem! – warknął. – Mogłabyś zrobić wyjątek. Daję ci pracę, idę na rękę. Na czas płacę. Co innego masz do roboty?

Tego już było za wiele. Przebrała się miarka. Potrafiła znieść wiele, ale tym razem przesadził. Poczula się jak niewolnica, jak prowadzone na smyczy zwierzę, jak kukielka w teatrzyku dla dzieci. Przypomniała sobie, jak jest wykorzystywana, i wspomniła wszystkie krzywdy, jakich doznała. Niezapłacone nadgodziny, branie pracy do domu, niewykorzystany urlop, zarwane soboty, niedziele i święta. Kilka miesięcy temu napisała jego córce pracę. Przyłożyła się solidnie. Było tego kilka kartek. A on co?! Jeszcze ją zbeształ i miał pretensje, że latorośl dostała tylko „czwórę”. Zarzucił jej, że odwaliała pańszczyznę. Gdy się upomniała o zapłatę, rzucił jej wymięte pięćdziesiąt złotych. Poczula się poniżona i o mało się nie rozplakała.

Tym razem także nic nie wspomniął o wynagrodzeniu za ostatni weekend. Głupia i naiwna – pracuje za „friko”. Widocznie jej pan i władca doszedł do wniosku, że tak ma być i basta. Uznał, że jest potulna jak trusia, przytuli uszy, podwinie ogon i nie ośmieli się upomnieć o swoje. O nie, mój panie! Tym razem będzie inaczej. Znalazła się na skraju rozpacz; walczyła o swoje prawa i dobre imię. Nie mogła dać się zgnoić i pomiatać sobą. Inaczej zrobi z nią, co tylko zechce. Obedrze ją z szacunku i resztek godności. Już i tak na wiele pozwoliła. W jej uporządkowanym świecie, w którym każdy element miał przypisa-

ne miejsce, nie było najmniejszej szczelinki, w którą mogłaby wcisnąć dodatkowe obowiązki.

– Nie! – wykrzyknęła. – Czy mnie pan zrozumiał? Powiedziałam: nie! – wyrzuciła z siebie, nie poznając własnego głosu. Nigdy nie posądzałaby siebie o taki akt odwagi. Straciła nad sobą kontrolę. To nie była ona, tylko wściekłe zwierzę. Klęła na szefa w myślach.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Traktuję mnie pan gorzej niż niewolnicę – wyrzucała z furją. – Nie dość, że poświęciłam wolny czas na pracę, tyrałam dla idei od rana do nocy, to pan, zamiast mi podziękować, robi mi wymówki i narzuca dodatkowe obowiązki. Wbrew temu, co pan sądzi, mam osobiste życie, zainteresowania i obowiązki. Znam swoje prawa. Proszę o zaległy urlop, bo inaczej spotkamy się w sądzie.

Pomału schodziło z niej powietrze; o mało się nie rozpląkała. Zdawała sobie sprawę, że przesadziła i się zagalopowała.

Szef był arogantem i potraktował jej wybuch jako akt nie-subordynacji. Zdawał sobie sprawę, że świadkami zajścia były inne osoby. Obawiał się, że straci reputację. Teraz wszyscy czekali na jego reakcję.

– Jak ci się nie podoba, to złóż wypowiedzenie! Myślisz, że jesteś niezastąpiona?! – krzyknął za wychodzącą w pośpiechu z jego biura Angeliką. Następnie zwrócił się do sekretarki: – Co ją napadło? Zanieś jej kubek wody. Niech się uspokoi. Wiejska dzdзира. Szaleje, bo potrzebuje faceta – wyszeptał do siebie.

W jego mniemaniu dobrze to rozegrał. W ten sposób zachował twarz i jednocześnie okazał miłosierdzie. Sprawa nie była jednak prosta. Pomimo urazu, jaki odczuł, musiał przyznać, że Angelika to wartościowa pracownica. Oczywiście nikt nie jest

niezastąpiony, ale w rękach tej dziewczyny skupiało się wiele spraw. To ona była kołem zamachowym firmy. Taka alfa i omega. O wszystkim wiedziała i wszystko miała w małym paluszku. Gdyby ją zwolnił, wiele spraw by się zawaliło. Jeszcze nie teraz – za szybko. Poczekaj, wyuczysz innych, może nawet córkę. Tymczasem trzeba ją udobruchać. Na początek wypłaci jej trzy, nie to za dużo, dwie stowy premii (chytrus!), da jej kilka dni wolnego, zasiewając w ten sposób ziarno niepewności. Potem udowodni, kto tutaj rządzi.

Angelika chodziła jak struta. Zdawała sobie sprawę, że przesadziła. Żałowała zapalczywości i obawiała się najgorszego. Uznała, że zachowała się prymitywnie – tak nie załatwia się spornych spraw. W ten sposób skazywała się na izolację – nikt bowiem nie zamierzał zadzierać z szefem. W takich sytuacjach potrzebna była dyplomacja, mydlenie oczu i robienie dobrej miny do złej gry. Tak jak to robią inni: uśmiechają się jak faryzeusze, co innego mówią, a co innego myślą, podlizują się, plotkują, wykorzystują okazję, dają się poklepać po pośladkach, a jeśli trzeba, wskakują komu trzeba do łóżka. Teraz tak robi się kariery. Tylko, że ona była inna – odmienna. Nie z tego świata. Niedzisiejsza. Ona tak nie potrafiła. Milczała, dusiła w sobie krzywdy, a potem w akcie rozpaczony wyrzucała je z siebie w niekontrolowany sposób.

Po niedługim czasie przy filiżance kawy – w zaciszu gabinetu szefa – doszło do szczerzej rozmowy. Pogadali o tym i tamtym. Wyjaśnili sporne kwestie.

Ona przeprosiła go za wybuch. Puściły jej nerwy, jest przemęczona, ma za dużo na głowie, w końcu przyznała, że nie nadąża. On z kolei tłumaczył, że prowadzenie firmy to niełatwa sprawa. Na rynku panuje zastój; spadają dochody. Sprawdza go

skarbowka, urząd wojewódzki, a nawet CBA. Przeglądają kontrakty i czepiają się byle czego. A to o zaniżone ceny, a to o zbyt wysokie marże i tak dalej, i tak dalej. Tego wszystkiego nie widać, ale to się dzieje. Do tego rodzina. Szkoda gadać.

Był wspaniałomyślny. Stało na tym, że udzieli jej kilkudniowego urlopu, aby nadrobiła zaległości w nauce i zregenerowała siły. Miałby tylko małą prośbę, aby w wolnym czasie napisała dla jego córki esej. Nie musi być najwyższej klasy. Aby tylko latorośl zaliczyła historię.

Na odchodnym sięgnął do kieszeni i podał jej dwa zmięte banknoty: sto pięćdziesiąt złotych (chytus!) i powiedział, żeby nikomu o tym nie wspominała. Zawarty został rozejm. Rany się goiły. Jednak już nazajutrz zadzwonił telefon, że potrzebują jej w firmie. Wszystko wracało do normy.

Nadeszła środa. Znowu pędem; znowu szybko. W nocy źle spała – za dużo emocji. Targały nią wątpliwości. Zadawała sobie pytania: czy jeszcze raz spróbować? Czy zaufać losowi? Czy Julek z Wojtówki jest jej przeznaczony? A jeśli nic z tego nie wyjdzie?

Poprzednie niepowodzenia poszły w zapomnienie. Tamci mężczyźni wyjechali, nie było świadków, sprawy rozeszły się po kościach. Jednak teraz to co innego. To miejscowy chłopak. Może plotkarz albo papla. Potem będą się z niej śmiali, że chowa się po krzakach z wiejskim Don Juanem. Ludzie wszystko widzą, a jeśli nie wszystko, to reszty się domyślą. W sołectwie nic się nie ukryje. Zszarga sobie opinię. A jeśli zrobi jej dzieciaka i ją porzuci? Stara panna z brzuchem?! Wstyd! Wytykali by ją palcami i śmiali się z niej za jej plecami.

Wróciła z pracy wcześniej. Żeby być w porządku, wzięła do domu sprawozdania. Nie miała pojęcia, jak potraktować to spotkanie. Przecież to nie randka, co najwyżej zapoznanie. Powiedziała, żeby ubrała spodnie. Co to miało oznaczać?

Ogarnęła się nieco. Na wszelki wypadek włożyła do majtek podpaszkę. Jak się będzie dobierał, to mu powie, że ma okres. Oznajmiła matce, że zrobi po okolicy rundkę rowerem. Jej mózg potrzebuje odpoczynku i dotlenienia. Adela zmierzyła ją badawczym wzrokiem, a Angelice wydawało się, że przewierca ją na wylot świder.

– Jedź ostrożnie! Uważaj na piratów drogowych! Przewietrz mózgownicę i wracaj do domu. Ja tymczasem nakarmię króliki i zagonię gawiedź do kurnika.

Matka była oschła, arogancka i sypała sloganami. Ostatnio straciła na wadze i się przygarbiła. Popędliwa, narwana, ale nieugięta. Urobiona po łokcie, zmęczona, ale zbyt harda, aby dała to po sobie poznać. Może nie okazywały sobie czułości, ale rodzicielka zawsze była w pobliżu. Angelika w jej obecności czuła się pewniej.

Puściła się w dół pagórka. Za nią wzbił się obłok kurzu. Nie padało od dwóch tygodni. Teraz było jednak wilgotno i parno. W powietrzu wisiała burza. Minęła mostek nad rzeką Bystra. Korytem leniwie płynęła struga. To nie to samo, co po zimowych roztopach. Wiosną w wyżłobionym korycie woda pieniała się jak oszalała, niosąc ze sobą połamane gałęzie, suche liście i trawę.

Dojechała do drogi i skręciła w prawo – oddalała się od wioski, mijając upadły zakład betoniarski, który nie wytrzymał próby czasu. Teren świecił pustkami, a niektóre budowle pod

wpływem erozji i wandalizmu popadły w ruinę. Na rozwidleniu dróg odbiła na Dębowiec.

Po obu stronach szosy ciągnęły się głębokie rowy. Na poboczu rosła trawa, koniczyna i wyka. Gdzieniegdzie przebijały się fiołki, jaskry, mlecze i stokrotki. Stare grusze stały w szeregu, jak żołnierze przed defiladą. W oddali zieleniły się łąny zbóż poprzedzielane żółtymi poletkami rzepaku. Po drugiej stronie, na skalistym gruncie wyrastała trawa i piętrzyły się sterty kamieni. Jechała cały czas pod górkę, mijając tonące w morzu zielska ruiny starych zabudowań. O jeden z przydrożnych krzaków zahaczył biały balonik i podrygiwał na wietrze. „Na pewno zgubiła go jadąca do ślubu para nowożeńców. Ciekawe, czy i ja doczekam tej chwili?”.

Dochodziła ósma. Zbliżała się pora spotkania. Droga była pusta. Miała nadzieję, że nie robi z siebie błazna. „W co ja się pakuję? Może to gwałciciel?”. Był dokładnie tam, gdzie obiecał. Przyczał się za starą jabłonką. Gdy ją zobaczył, wyskoczył na środek drogi, nakazał jej zsiąść z „górala”, ujął pod ramię i pociągnął w stronę porośniętej gęstymi krzewami skarpy. „Szybki jak błyskawica” – przemknęło jej przez głowę.

Znaleźli się na jałowej ziemi, na której rosły osty i parzące pokrzywy. Gdzieniegdzie sterczały z gruntu badyle i patyki. Na pofałdowanej płaszczyźnie – pomiędzy poskręcanyimi korzeniami – płożyły się bluszcze i zadziorne jeżyny. Niewielki pagórek porastały dzikie róże, głogi, wrzosa, jałowce i najeżone kolcami tarniny. Z ziemi wystawały kamienie oraz wznosiły się krecie kopce i mrowiska. Schowali rower pod płaczącą wierzbą i podążyli dalej. Julek cały czas trzymał Angelikę pod ramię. Nie oponowała – w ten sposób ją chronił. Co rusz potykała się bowiem o wystające korzenie, powoje i odłamki skalne. Czula

pod stopami miałki piasek i ostre jak brzytwa kawałki granitu. Pod jej butami trzeszczały wysuszone patyki.

Skierowali się w stronę niewielkiej polanki. Wokół niej rosły rachityczne krzewy, karłowate brzoźki i jarzębina. Przystanęła na chwilkę. Z trudem łapała powietrze i kuło ją w boku. Myślała, że to kres podróży. Dotarli do bazaltowej ściany, o którą była oparta ogromna skalna płyta.

– Zaraz wślizgniemy się do środka – powiedział Julek.

Wyciągnął z krzaków akacyjny drąg, wsadził go w szczelinę pomiędzy skałą i płytą, naprężył mięśnie i odchylił ją do pionu. Angelika przecisnęła się na drugą stronę. Mijając Juliana, zauważyła napięte mięśnie i nabrzmiałe żyły. Gdy płyta z powrotem znalazła się na miejscu, poczuła się nieswojo. Znajdowała się na wysokiej skalnej półce. Przed nią rozpościerała się przepaść, za sobą miała ścianę, a nad głową sklepienie.

Odetchnęła z ulgą, widząc opuszczającego się na linie Julka. Uśmiechnął się do niej, rozcierając dłonie. Przypominał jej stojącego na ugiętych nogach szympansa. Ubrany w sportowe obuwie, obszerną bluzę i dresowe spodnie prezentował się przyzwoicie.

Usiedli obok siebie na płaskim kamieniu. Promienie słońca padały na położone w dole łąki i zaorane pola. Ognista wspańiałość zachodu ubarwiała szkarłatem świeżo odwalone skiby. Wysuszona gleba z niecierpliwością oczekiwała deszczu, aby rzucone w nią ziarno mogło zakiełkować. Skupiska drzew odcinały się od tła soczystej zieleni masą białego i różowego kwiatostanu. Na skraju pastwisk i zaoranych zagonów rosły krzewy. W oddali wyróżniał się szpaler topoli. W powietrzu krążyły ptaki łowiące owady.

Podeszła do krawędzi urwiska i spojrzała w dół. Zakręciło jej się w głowie. Cofnęła się szybko i położyła dłoń na pierśsiach. U jej stóp leżała wioska. Ze stacji ruszał pociąg osobowy. Po szynach toczyła się lokomotywa i dwa wagony. Na połączeniu szyn zastukały metalowe koła. Pociąg posunął wysokim nasypem, a następnie zniknął w zagłębieniu terenu.

Była zakłopotana, siedziała na twardym kamieniu, pocierała nos i kompletnie nie miała pojęcia, od czego zacząć. Odczuła ulgę, gdy to on rozpoczął rozmowę.

– Na pewno zaskoczyła cię moja propozycja spotkania. Miałem za mało czasu, aby ci wszystko wyjaśnić. Ujrzałem cię kiedyś jadącą tą drogą. Urzekła mnie twoja twarz.

„Mój Boże! Malarz – artysta – i do tego pochlebca. Na pewno zaproponuje mi namalowanie aktu”. Była zawiedziona. Myślała, że wypowiedziane tamtego dnia przez Julka słowa: „Urzekłaś mnie” mają inne znaczenie. Pomimo przebywania sam na sam z mężczyzną w odludnym miejscu, nie odczuwała strachu. Wręcz przeciwnie – czuła się bezpieczna. On mówił, a ona słuchała. Tłumaczył jej o pięknie zachodzącego słońca, naturze, kościele i pałacu. Używał fachowych określeń dotyczących stylów, łuków i portali. Mało z tego rozumiała. On był romantykiem, ona twardo stąpającą po ziemi realistką.

Patrzyła przed siebie, skubała rąbek bluzy, oglądała niewypielowane paznokcie, zauważyła nawet, że ma kilka piegów na dłoni. Było jej dobrze, nie była spięta, nikt niczego jej nie narzucał, nikt jej do niczego nie zmuszał. Nic nikomu nie musiała udowadniać. Czuła się wyluzowana. Wdychała świeże powietrze, ładowała akumulatory i regenerowała szare komórki. Jednym słowem: relaks. Zastanawiała się, jak się prezentuje? Co o niej sądzi Julek?

– Popatrz na tę purpurę. Widzisz te kładące się na ziemi cienie? – wyciągnął przed siebie rękę.

Popatrzyła we wskazanym kierunku. Za wysokimi sosnami chowało się słońce. „Mój Boże! To już ta godzina?!” – spojrzała na zegarek.

– Muszę lecieć. Robi się późno. Za chwilę będzie padać. Ale ze mnie gapa. Nie wzięłam telefonu. Matka będzie się niepokoić – wyrzuciła z siebie.

Bez słowa sprzeciwu – jak wierny sługa – podciągnął się na linie i po kilku minutach odsunął głaz. „Sesamie, otwórz się” – przypomniała sobie słowa zaklęcia. „Dlaczego mnie tutaj przyprowadził? Czego ode mnie oczekuje? Pewnie szuka wolnego słuchacza. Muszę się o nim więcej dowiedzieć. Ciekawe, co to za jeden”.

Wyciągnęli z krzaków rower i podeszli do skraju drogi. Na rozgrzanym asfalcie ukazały się ciemniejsze plamki. Spadły pierwsze krople deszczu i niemal od razu wyparowały. Miała nadzieję, że zdąży do domu przed ulewą. Nagle Julek złapał ją za ramiona i zmusił, aby przykucnęła. Droga jechał samochód. Znaleźli się tak blisko siebie, że poczuła zapach jego ciała. Swojski i czerstwy. Rozsiewał woń siana, słonecznego blasku, zacinającego deszczu i porywistego wiatru. Biło od niego gorąco i wtedy przysła jej do głowy niedorzeczna myśl – przydałby się jej taki ciepły piecyk na zimowe wieczory.

– Spotkajmy się w sobotę – zaproponował nieśmiało.

– Niestety, nie mogę. Wyjeżdżam do Wrocławia. Mam zaliczenia i egzaminy.

– To może w środę?

– Pracuję. Dzisiaj wyjątkowo udało mi się wyrwać.

– Zróbmy tak – zaproponował po chwili. – Przyjdź nad Rączy Strumień w środę o godzinie ósmej. Idź polną drogą wzdłuż zasypanego rowu, a gdy dotrzesz do potoku, skieruj się w prawo. Spotkamy się przy powalonej wierzbie.

„Łap szansę, dziewczyno” – pomyślała Angelika.

– Dobrze. Wezmę na spacer Białasa. „Babka” się ucieszy...

– „Babka”?

– Moja mama. Tak ją nazywają.

– To chyba ta, co jeździ rowerem. Czasami tak zasuwa z górki, że nie dogoniłby jej lider Giro di Italia.

Angelika się uśmiechnęła.

Rozstali się. On pobiegł w stronę Dębowca, ona zjechała do skrzyżowania dróg. „Ciekawe, czy to prawda, co powiedziała Zdzicha, że ten chłopak zalicza dziewczyny w biegu?”

Wieczorem nie mogła skupić się na nauce ani sprawozdaniach. Bujała w obłokach. Pierwsze spotkanie? Pierwsza randka? A już nazwała go w myślach: „mój chłopak”, „mój Julek”. Skończyła po północy i położyła się do łóżka. Długo przewracała się z boku na bok. Rozmyślała, marzyła. Wyobrażała sobie, jak spaceruje z Julkiem pod rękę.

– Julek, Julian, Julo – szeptała do poduszki. Czyżby zakochała się od pierwszego spojrzenia? A może to tęsknota za czymś, czego tak bardzo pragnęła? Za czymś, czego jej brakuje? Chciała poczuć się kobietą i tak jak inne kobiety mieć przy boku kogoś bliskiego. Kogoś, do kogo miałyby zaufanie, komu mogłaby się zwierzyć... do kogo mogłaby się przytulić.

Rano zbudziła się rześka. Nie słyszała nawet szalejącej za oknem burzy. W nocy zaczynało deszczem i szarpało okiennicami. Ominęły ją tak uwielbiane przez nią grzmoty, pioruny i błyski. Przygotowywała śniadanie, nucąc pod nosem wesołą

melodię, potem tańczyła z miotłą w dłoni. Doznała dziwnego wrażenia, że coś się wkrótce wydarzy. Coś, co zasadniczo wpłynie na jej życie. Wierzyła, że w chwili, w której poznała Julka, rozpoczyna się nowy rozdział jej życia.